ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 14-go Stycznia 1897. Nr. 2.

„Światło“ wychodzi co tydzień. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 **markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Praktyczne rady.

— **Maść na odzięblinzę.** Przy panujących obecnie mrozach, częste mogą być wypadki odzięblenia rąk, albo nóg, może więc przysłużymy się niejednemu podaniem lekarstwa na odzięblenie. Trzeba rozgrzać na ogniu 24 części łoju baraniego, tyleż szmalcu wieprzowego i 4 części niedokwasu żelaza, mieszając łopatką, dopóki masa nie będzie czarna. Wtedy trzeba dodać 2 części olejku terpentynowego i tyleż olejku bergamotowego; po ostudzeniu przełożyć w słoiki i smarować tą maścią miejsca odzięblone.

— **Odróżnianie żelaza od stali.** Puszcza się laseczką szklanną na przedmiot rozpoznawany, kroplę kwasu azotnego 24° Bé, pozostawia ją $1/2$ minuty, a potem opłukuje wodą; miejsce wygryzione będzie na stali czarne, na żelazie zaś białawoszare.

— **Kit do wypełniania szpar w drewnianych przedmiotach.** Topi się $3 1/2$ dkgr. kalafonii, i $3 1/2$ dkgr. żółtego wosku w łyżce żelaznej, a gdy się takowe stopią, podaje $3 1/2$ dkgr. zwapnionej ochry w bardzo miałkiem proszku, i utrzymuje massę przez czas niejakiś w stanie roztopionym. Kit ten wlewa się do szpar i fug w drzewie, które tym sposobem zakitowuje się bardzo mocno. Kit taki opiera się wilgoci.

Rozmaitości.

* **Poświęcenie kapłana.** Wśród wysp Sandwich jest jedna wysepka, Molokai, przeznaczona wyłącznie dla trędowatych. Ta straszna choroba jest tak dalece rozpowszechnioną w tym kraju, że dotkniętych nią muszą oddzielać od reszty mieszkańców i przenosić na wysepkę, gdzie pozostają już do końca życia. Pewien młody misyonarz francuzki, Damiens, przejęty litością dla tych nieszczęśliwych, postanowił opuścić świat i dobrowolnie poświęcić się pocieszaniu trędowatych. Długi czas zdrowie mu dopisywało, w końcu jednak uległ zarazie. »Nigdy już nie wrócę do drugiej mi Francyi — pisał do rodziny — jestem dotknięty trądem. Jedna powieka już się psuje, podobnie jak ucho i lewa noga; wiem, że wkrótce zostanę zeszpecony, ale jestem zupełnie spokojny i szczęśliwy wśród moich owieczek. Bóg najlepiej wie, co jest potrzebne dla dobra mojej duszy, powtarzam też codzień: »Bądź Twoja wola, Panie, jako w niebie tak i na ziemi«.

* **Podług statystyki** przemysłu zegarmistrzowskiego, zegarków kieszonkowych wyrabia corocznie: Szwajcarya 1,600,000 za 88,000,000 franków; Francya 300,000 za 16,500,000 frank.; Anglia 200,000 za 16,000,000; Stany Zjednoczone 100,000 za 7,500,000; ogółem zegarków 2,200,000 za 128,000,000 f.

* **Norwegia** jest jedynym krajem w Europie, gdzie od lat czterdziestu zmniejsza się stale ilość napojów wyskokowych. Kiedy w r. 1850 wypadało na głowę 3,15 kwart przecięciowo, teraz wypada zaledwie 1,70 kwart. Zmniejszenie pijaństwa nastąpiło w skutek wyższych podatków nałożonych na trunki spirytusowe i sumiennego dozoru nad szynkami.

* **Japończycy**, chcąc wyrazić niezadowolenie swe podczas przedstawienia teatralnego, nie gwizdają, ani też tupią nogami, jak to jest w zwyczaju w Europie. Powstają poprostu z siedzeń i odwracają się tyłem do sceny. Na ten znak wymowny kurtyna zapada i widowisko zostaje zawieszone.

ZAGADKI.

I.

W pewnym ogrodzie było 3 razy tyle jabłoni, co grusz. Wtem wielki wicher złamał cztery jabłonie i cztery grusze. Pozostało wtedy 4 razy tyle jabłoni, co grusz. Ile drzew było w ogrodzie przed wichrem?

II.

Myśmy z fachu rzemieślniki,
Czynność naszą zna świat cały,
Gdyż bez nas wozy i bryki
Nie do użytku by stały.
Pierwsze drugie u kolaski
To rąk naszych **trzecie drugie**,
Więc podróże z naszej łaski,
Nie są bardzo zmudne, długie.
Kto historyi, chce znać karty,
Zgłębić przeszłość badaniami,
Czytać stare **trzecie czwarte**,
Ten się śród nich spotka z nami.
Z naszego to bowiem grona.
Wyszedł ten, co siadł na tronie,
A złota władzy korona
Zwieńczyła mu chwałą skronie.

SWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 14-go Stycznia 1897. Nr. 2.

„Światło“ wychodzi co tydzień. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 centów). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PALEC BOŻY.

OPOWIADANIE Z WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

(Dokończenie.)

Wyszedłszy z klasztoru za innymi, postrzegłem ulice ożywione mnóstwem różnego żołnierstwa, którzy podobni do żeńców na obrzynku, używali teraz owoców pracy; zbiegowisko to miało minę niby karnawału, niby święta narodowego, niby bandy rozbójników bankietującej w lesie... Tutaj Holender wyskakiwał z kręgiem sera i z dzbanem wina, nawieszawszy na biały mundur kręconego tytuniu; owdzie Francuz dobrze ścięty objuczył plecy sukniami kobiecemi i lezie mi w oczy, abym co kupił dla mojej belli; Badeńczyk zgiął się pod ciężażem kiełbas i szynek; w rynsztoku tarza się pijana markietanka; znowu ulicą ciągnie zgraja, rycząc przypomnioną sobie pieśń, poprzedzana zataczającym się grajkiem, który brzdąkał na skradzionej gitarze.

Tyle scen to śmiesznych, to wzbudzających przykre uczucie, przewijało się przed mojemi oczyma, że prawie odurzony wróciłem do naszego stanowiska, gdzie zastałem większą część żołnierzy, którzy obłowiwszy się teraz puszczali w handel różne kosztowności, przedając najczęściej za manierkę gorzałki, rzecz wartującą kilkanaście dukatów, albo też na rozpostartym płaszczu zgrywali się w karty do jakiegoś spekulanta, co bank założył. Czy tym czy owym sposobem na to, który został przy zdobyczy, wszystko jak było marnie nabyte, tak zbyte; tylko na dobitek wielu pościągało na siebie karę boską w następnej bitwie w sposób bardzo widoczny i przekonywający, — tylko nie dla wszystkich, gdyż wielu, którym zwracałem na to uwagę, nie chcieli wierzyć, składając na zwyczajną kolej bitew i stosując przysłowie: że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą...

— Dalszy nasz pochód odbywał się jak zwykle śród drobnych utarczek z bandami powstańców; żadna większa siła nieukazywała pola; wiedzieliśmy bowiem, że niedobitki hiszpańskie zbierały się w górach, chcąc nam zamknąć przejście do Madrytu. Na dwa dni przed zdobyciem Sommo-Sierry, przednia nasza straż dościgła piechotę hiszpańską w wąwozie Buwierka; rozprawa była krótka, a zwycięstwo przy nas... Odtąd szliśmy już wciąż górami — aż dnia 29-go Listopada cały korpus marszałka Victor zebrał się u stóp skał, które przed nami wznosiły się stromo, przepaściście, niby mur jakiej olbrzymiej twierdzy. Zajęliśmy stanowisko przy jakiejś wioseczce na pół zrujnowanej: niekazano nam ruszać się od koni, ale pozwolono rozpalić ogniska; tem bardziej, że zimno wilgotne na wskroś przejmowało, a i posiłek potrzebny był wojsku — przeto każdy sobie warzył, co miał w zapasie; — ja zaś, pamiętam, raczyłem się z kolegami wyborną czekoladą, w którą się jeszcze

w Lermie zaopatrzyłem. — Obóz hiszpański będący na przeciw, gdy się ściemniało, przepiękny widok nam sprawiał tysiącem ognisk, które jak lampy migały zawieszone na ciemnem tle tych skał nagich, pomiędzy któremi wił się wąski gościniec madrycki — jutrzejsza nasza droga do sławy lub śmierci... Zapomniałem jeszcze napomknąć, że dnia tego z kolei szwadron nasz był na straży przy cesarzu, która to okoliczność tem bardziej utwierdzała nas w mniemaniu, że jutro może i niedobędziemy pałasza. Bardzo więc długo i wesoło gawędziliśmy w obozie, prawiąc różne historyjki, przypominając sobie to dawniejsze lata, to różne znajomości i stosunki familijne; jaki taki westchnął za domem, za rodzicami, inny za kochanką, a każdy pytał: kiedy też da nam Bóg wrócić na nasze zrazy i kaszę?... W końcu ożywiona ta biesiadka zeszła na smętne tylko przypomnienia; jakaś tęsknota, wróżka złego przeznaczenia osiadła czoła wiarusów; pospuszczali wąsy — ja zaś, sam niewiedząc dla czego byłem ochotszy niż kiedy; żarty mi się nie przebierały, tak dalece, że niektórych ten dobry humor obrażał, i jeden, jakby na przestrogę mruknął z pod nosa: Ej wachmistrzu, za nadtoś dziś szalony, żebyś jutro nie beczał! — Zmilczałem, alem w duchu rzekł sobie: chyba nad wami. — I prawda, płakałem ich przy jutrzejszem ognisku, gdyśmy się i połowy towarzyszy dorachować nie mogli... W kampanii, jak to sami zapewne doświadczyliście, snopek słomy i suchy kawałek ziemi, jest rozkoszą, która wszystkie inne przewyższa, — wyspać się dobrze to prawdziwe szczęście. Owoż tej nocy, tak się zdarzyło, żeśmy obozowali blisko jakiejś posady, czyli karczemki, ale tak zniszczonej, że nawet dach nie został; — tam, rozlokował się na noc nasz rotmistrz Kozietulski z kilkoma oficerami i mnie się też dostał, jako wachmistrzowi szwadronowemu, kątek suchy i miękki snopek... Możecie sobie wyobrazić, żem zasnął twardo i smaczno; z razu żadne marzenie nie kłóciło spoczynku i wszelkie czucie było mi odjęte z zapomnieniem trosk i niepokojeń tego życia, których wszakże najmniej doświadcza żołnierz na linii bojowej... dopiero, jak wnoszę, nadedniem, ujrzałem się w domu mego stryja, przy którym mieszkałem po stracie rodziców. Był prześliczny ranek majowy... biegałem po ogrodzie między grządkami kwiatów takich woniących, takich barwistych, jakichem nigdy w życiu nie widział... Oko moje zachwyciła szczególniej jedna lilia piękniejsza nad wszystkie wielkością korony, srebrnym połyskiem liścia. — Stanąłem nad nią i wpatrywałem się jak oczarowany, jak kochanek w oczy kochanki, przez które czyta w jej duszy miłość i nadzieję... Mnie się zdawało, że lilia ma duszę, że w niej czytam głęboką jakąś tajemnicę... potem, jakbym dostał zawrotu, jakby dziwna ogarnęła mię trwoga, ukląkłem. — Aż oto z kielicha wypływa śliczna postać niewiasty: jasne jej czoło otacza wieniec z promyków, biała szata nadzwyczajnej miękkości spływa do stópek, któremi zaledwo dotykała liści liliowych... Na to zjawisko zacząłem mówić: Błogosławionaś między niewiastami!... i złożyłem ręce do modlitwy... W tem postać przemówi cichym a dźwięcznym głosem: Wachmistrzu, czytaj apel!... usłuchałem komendy, sięgnąłem za nadrze i wyjąłem listę... — Czytaj! powtórzyła. Czytałem więc od początku do końca, a ona przy niektórych nazwiskach pokazuje palcem i mówi: połóż krzyżyk ołówkiem... Gdym skończył i podniósł oczy, już znikło widzenie... W tej chwili odgłos trąbki zadzwonił mi w uszy; zerwę się na równe nogi — spojrzę — jeszcze szaro na dworze — mgła gęsta w. powietrzu, ale od strony wschodu świt zaczynał rumienić niebo... Aż tu i rotmistrz przypada: Wachmistrzu! każ stawać do apelu; cesarz za moment będzie przejeżdżał; piechota już się uciera, czy słyszysz strzały? — W rzeczy samej głuchy odgłos ognia karabinowego rozlegał się po górach. — Ależ to dziwny sen miałem panie rotmistrzu! — mówię zajęty mojem marzeniem. — Potem o tem; a teraz spiesz się... odrzekł, wołając niecierpliwie na

ordynansa, by mu konia podawał... Nie długo stałem przed uformowanym szwadronem, i czytałem apel; pamięć dochowała mi wiernie nazwiska, oznaczone krzyżykiem we śnie; dla tego przy czytaniu porobiłem też same znaczki — przed nami. Poznałem go zaraz po szarej kapocie, po trójgraniastym kapeluszu i po tem oku, co wlepione w tę masę skał, już naprzód wytknęło drogę zwycięstwu. — Kozietulski zakomenderował: Czwórkami! kłusem! i szwadron

Widok jaskini Wierzchowskiej w Ojcowie.

najwięcej mię uderzyło, iż wszyscy, których widziałem na rabunku w Lermie, dostali krzyżyk...

Gdym skończył — po szeregach przeleciał głuchy szmer: Cesarz! cesarz!... i kilkudziesięciu jeźdźców przegalopowało kopnął się za Napoleonem.

Po drodze napotykaliśmy różne pułki, to piesze, to konne, to artyleryą, zajmujące stanowiska. Patrząc na niezdobyte prawie stanowisko Hiszpanów, którzy na wązkim gościńcu wykutym w skałach,

ustawili byli działa i ciągły sypali ogień — wróżyliśmy krwawą rozprawę, ale nam nigdy i przez myśl nie przeszło, aby kawalerya miała zdobywać ów wąwóz. Jednakże Cesarz tak w swojej głowie uradził i dokazał swego — inny pospolity generał byłby odszedł z kwitkiem... Widzieliśmy, jak piesze pułki coraz więcej wysyłały tyralierów, ale nic wskórać nie mogli, bo Hiszpanie palili jak z za muru, a wdzierających się spychali na dół bagnetami... Mgła powoli rozedniała w dolinie, a szczyty gór jaśniały już dziennym blaskiem. Cesarz stanął na jednym pagórku i przez lunetę patrzał, — myśmy się również zatrzymali, przeto mógłem go śledzić w każdym ruchu: — po wężykowatym kierunku jaki nadawał lunecie, poznałem, że duch jego biegł tym krętym gościńcem, najeżonym działami; w drgnięciu niespokojnem ręki, wyczytałem jakąś tajemną obawę, która musiała w końcu nastąpić z myśli, bo uderzeniem dłoni, gdy zesunął członki lunety, taki wzrok rzucił ku górom, jakby chciał wyrzec: głupcyście! Niema ta scena tyle mnie zajęła, żem nawet nieuważał, jak kule gradem obsypywały nas, dopiero, gdy Dziewanowski zginął, poznałem na co to się zanosi i mówię do rotmistrza stojącego obok mnie: Zaczynają dogrzewać... — Nie tak tu jeszcze będzie — odrzekł kiwając głową — dajno wódki wachmistrzu, coś chłodno... do ciebie!... Ledwie mi oddał manierkę, gdy adjutant cesarski przypadł z rozkazem, ażeby nasza konnica poszła do ataku na górę. — Wiara! pokażmy co umiemy! — krzyknął Kozietulski. — Naprzód, marsz, marsz!... Odtąd już nie jestem wstanie opowiedzieć, co się tam działo koło mnie, nademną, podemną. Wiem, żeśmy się darli jak na piec... Kartacze jak stada szpaków spadały na nas, granaty pękały nad nogami — cała góra, by wulkan w ogniu zasypywała nas lawą pocisków... niewiedziałem już kto tam padał, kto nam zastępował — nie wiedziałem, czym był na koniu, czy pieszo, bo pęd massy mnie unosił ciągle naprzód, ciągle pod górę, przez działa, przez trupy zrąbanych kanonierów... Tylko to pamiętam, że mi ustawnie w oczy zaglądały paszcze dwóch dział — jak mora, która cię dusi, którą odepchniesz na chwilę, a ona znowu powraca... Było tego, już niewiem wiele razy, zapewne tyle ile par dział musieliśmy zdobywać na każdym zakręcie — później liczyliśmy, było ich szesnaście. Ośm więc razy biedny nasz szwadron wytrzymywał tę piekielną łaźnię... Jużeśmy docierali prawie do końca... obejrzę się... ledwie kilkunastu gwardyaków kręci się przy mnie, ale za to długi pomost koni i trupów ciągnie się aż do podnóża góry. — Szukam oczyma dowódzcy... a oto on opodal za nami leży pod koniem i woła wyciągając rękę: Bracia ratujcie honor Polski! Naprzód! Naprzód!... Nie było już komu iść naprzód... Hiszpanie na naszą garstkę sypnęli z wierzchołków skał nieustający ogień... Jedna kula trafiła mię w słońce na kaszkiecie, inne płaszcz podziurawiły, a trzy ugodziły w piersi — czy uwierzycie? wszystkie odbiły się o medalion z Najświętszą Panną... pokażę wam znaki. — Widząc co się dzieje, jaki taki choć żal mu było ginąć daleko od ojczyzny, jednakże postanowił drogo przedać życie Hiszpanom, tem bardziej, że niestworzone rzeczy wyrabiali z jeńcami. Czekaliśmy tedy na nich z rezygnacyą i podniesionemi szablami... Opatrzność zrządziła inaczej: nie wyszło i trzy zdrowaś Marya, kiedy wąwozem rozległ się okrzyk: Hurra! Serce nam zabiło nadzieja... i oto Krasiński z Dotankurem sadzą na czele pozostałych trzech szwadronów gwardyi... Odtąd już się przeważyło zwycięstwo zupełnie na naszę stronę: opanowaliśmy szczyty gór — nieprzyjaciel wszędzie tył podawał, rzucał chorągwie, działa, bagaże, a myśmy wsiadłszy mu na karki, jechali na nim aż do Buitrago... Zwycięstwo to okryło nas nieśmiertelną sławą. Napoleon z radości trzy razy zażył tabaki i zatarł ręce powtarzając: to djabły nie ludzie!... Z tem wszystkiem gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasiek zrobili na gościńcu, i djabły nicby niewskórali... Niedarmo to

bystre oczko Napoleona zaraz dostrzegło tę chybę, skoczył do głowy po rozum i posłał jazdę. Każdy inny byłby forsował piechotą... Znajdźcież drugiego Napoleona!!...

Opowiadający zamyślił się, a raczej skończył... Obecni mieli oczy weń wlepione, jakby czegoś jeszcze się spodziewali; aż jeden najmłodszy z nich, zniecierpliwiony milczeniem majora, zagadł: Pan dobrodziej nic nam nie mówisz o sprawdzeniu się przepowiedni; czyż wszyscy ci zginęli, co dostali krzyżyk?... Wszyscy, co do jednego! odparł major z westchnieniem. — Przed apelem pokazywałem listę kilku kolegom, naliczyliśmy pięćdziesiąt siedm krzyżyków; po apelu podałem w raporcie pięćdziesięciu siedmiu zabitych...

L. Siemieński.

STARZEC I TRZECH MŁODZIEŃCÓW.

Zgrzybiały Starzec, sadził płonkę małą.
Trzech Młodzieńców co tam stało,
Śmiejąc się rzekło: — »Mój ty biedny człeku,
Co w twojej głowie dzieje się,
Mniejsza budować, lecz sadzić w tym wieku,
Jakiż ztąd owoc odniesie?
Starcze, (gdyż, pozwól, że powiemy tobie)
Jużeś jedną nogą w grobie,
Porzuć więc pracę i znoje,
To co w przyszłości nie twoje,
Wielkich zamysłów nadzieja, należy
Do nas młodzieży.« —
»Nie do was samych moi przyjaciele,
Odpowie Starzec, co człowiek zakłada,
Długo się robi, a trwa lat niewiele,
Prędko, czy poźno śmierci ręka blada,
Nieuważając na lata,
Starych i młodych bez różnicy zmiata:
Nikt niewie kiedy, komu, Bóg koniec przeznaczy,
I kto z nas zorzę ostatnią zobaczy.
Będzieciež mi jeszcze bronić,
Sadzić to drzewo, gdzie me pokolenie
Znajdzie chłód i pożywienie?
Temu, którego zyski nieunoszą,
Robić dla drugich już lubą roskoszą,
Już jestem owocem, co może dziś zrywać,
Jutro, po jutrze, i długo używać;
Nikt tego nie wie, może ja tak stary,
Dziś jeszcze pójdę na mary,
Może też w czerstwiejszej dobie,
Przedłużę to życie biedne,
I na waszym, o ufna zbyt młodzieży, grobie,
Policzę słońce niejedno.« —
Zgadł dobry Starzec, bo jeden z młodzieży,
Płynąc do Ameryki, w głębi morza łonie,
Drugi, gdy w bojach za laurami bieży,
Polega w szlachetnym zgonie,
A trzeci z wysokiego na dół spadłszy drzewa,
Duszę wyziewa.
Płakał ich Starzec w swem cichem schronieniu,
I przypadki niesłychane,
Tu wam przezemnie wspomniane,
Na twardym wyrył kamieniu.

J. U. Niemcewicz.

JASKINIA WIERZCHOWSKA.

Trwało to długie wieki, zanim ludzie nauczyli się stawiać sobie porządne mieszkania; początkowe osiedlenie składało się z ludności przemieszkujących w grotach i jaskiniach.

Dzisiaj znajdują po tych najstarszych mieszkańcach różne pozostałości, rozmaite wyroby z kości, i krzemienia, naczynia gliniane itp. Okolica Krakowa należy do tych, które się mogą wykazać starem, przedhistorycznem jeszcze zaludnieniem. Odznacza się zwłaszcza starożytnemi takiemi zabytkami okolica Ojcowa, sławna ze swej piękności. Są tam małe wzgórza, pięknie zalesione, a wśród nich skały, których wydrążenia służyły przed przeszło tysiącem, a może nawet przed przeszło dwoma tysiącami lat, za mieszkania pierwotnej ludności. Ojców jest tuż za rosyjską granicą, trzy mile od Krakowa. Na letnie mieszkania przybywa tam co rok kilkaset rodzin z miasta, przeważnie z Warszawy i jest to też miejsce lecznicze, kąpielo-

we. Z Krakowem, choć tak blizkim, mniej jest stosunków, bo przeszkadza granica, a przytem niema nietylko kolei, ale ani nawet porządnego gościńca prosto do Krakowa. Ojców na wspomnienia historyczne, bo jest tradycya, że w jaskiniach Ojcowskich szukał schronienia król polski Władysław Łokietek przed ścigającym go królem czeskim Wacławem. Do najpiękniejszych skał posiadających jaskinie, należy sławna skała Wierzchowska, o małą milkę na zachód od Ojcowa, położona w wąwozie, który niema więcej długości, jak dwa kilometry, a jest w niem jaskiń kilka, jedna obok drugiej. Podajemy, dwa rysunki największej z nich, zdjęte z obydwóch stron. Jaskinia w tej skale ma przeszło 600 metrów długości, łamie się w rozmaitych kierunkach, to się zniża, to biegnie w górę, jakby na piętra. Znaleziono tam kilkaset rozmaitych przedmiotów przedhistorycznych, jako to, krzemiennych wozów i skrobaczy, szlifowanych kamiennych młotków, siekierek, klinów, osełek, kamieni żarnowych; z kościanych wyrobów

Widok jaskini Wierzchowskiej w Ojcowie.

były szydła, mnóstwo kości nacinanych i łupanych ze zwierząt dzisiaj już nie istniejących, tak zwanych przedpotopowych, ale także zwierząt dziś znanych i tylko nieco w odmiennych gatunkach, jak np. wołu, konia, sarny, jelenia, dzika itp. — Widać z tego, że jaskinie te zamieszkiwane były przez szereg wieków, skoro z różnych czasów mają pozostałości, a mieszkało w niej zapewne kilkanaście rodzin; cała zaś okolica Ojcowa była wielką osadą jaskiniową.

NOWY ROK.

Narody starożytne rozpoczynały nowy rok na wiosnę, w Marcu, chrześcijanie zaś w oktawę Bożego Narodzenia t. j. w dniu 1-szym Stycznia, w którym odbyła się tajemnica obrzezania Zbawiciela i nadania mu imienia Jezus. Kościół święci dzień ten uroczyście, a wszystkie ludy obchodzą go wesoło. Już dawni Rzymianie rozpoczynali rok nowy igrzyskami, biesiadowaniem, przebieraniem się mężczyzn za kobiety i nawzajem. Rzecz prosta, że 1-szy dzień Nowego Roku musi być dniem wzajemnych życzeń i powinszowań a także zabaw, jako rozpoczynający mięsopust czyli karnawał. Zwyczaj dawania podarków na Nowy Rok przechował się u wszystkich narodów. Rzymianie modlili się do bogini Strenii, aby hojnością natchnęła osoby, od których spodziewali się otrzymać pewne dary. Cezar August z podarunków na Nowy Rok otrzymanych, kazał odlać posągi złote i srebrne. Chrześcijaństwo wzbroniło wymuszać od kogokolwiek podarunki noworoczne, lud jednak przechował ten zwyczaj. W Polsce podarek noworoczny zowie się kolędą. Królowie polscy »na kolędę« dawali wszystkim dworzanom swoim nieraz kosztowne podarunki, gdy ci winszowali im »nowego lata«. Herburt uczony polski za Zygmunta Augusta, tak pisze o Nowym Roku: »Biegają dziatki po nowem lecie, i przyjaciele dają sobie nowe lato, a zwłaszcza panowie sługom, bogaci ubogim, winszując sobie na nowy rok wszego dobra.« Widzimy z tego, że w Polsce było inaczej jak w Rzymie za cezarów, z których np. Kaligula kazał, aby mu poddani składali podarki noworoczne podwójnej wartości. Starzy Polacy na Nowy Rok witali się słowami: »Bóg cię stykaj«, co znaczyło polecenie opiece Bożej. Kapłan w kościele po kazaniu winszował parafianom i kolatorowi Nowego Roku a po nabożeństwie przyjmował sam powinszowania na plebanii. Wiedziano w ogóle czego komu życzyć należy, więc umysł i grzeczność, cześć lub wdzięczność, serce i afekt sąsiedzki siliły się na dowcip. Dzieci i żaczkowie szkolni prawili rodzicom i nauczycielom powinszowania prozą lub rymem, po polsku lub po łacinie. Gdy dawniej szkoły mieściły się przy klasztorach, bywało wiele ubogich dzieci, które uczono tam bezpłatnie i dawano im mieszkanie, a poczciwi ludzie żywili. Wyrobił się więc zwyczaj, że ci uczniowie, czyli jak ich nazywano żaki, przy-

Ślązak ze Skalitego na Węgrzech.

chodzili codziennie z własnymi garnuszkami po obiad lub wieczerzę, a na Nowy Rok zebrawszy się w gromadki obchodzili wszystkie domy, winszowali »Nowego lata« i starali się zaśpiewać coś takiego, żeby domowników rozśmieszyć i zabawić. Oto początek takiej żartobliwej kolędy:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika, i do niej piernika.
Hej kolęda, kolęda!

Mości gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę.
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej kolęda, kolęda!

Uczniów miejskich naśladowała dziatwa wiejska, chodząc po chatach i do dworu »za nowem latkiem«, winszując i zbierając w podarku smaczne kąski na biesiadę wieczorną. Powinszowania dzieciaków zastósowane są dla rolników, więc słyszymy w różnych stronach kraju:

Żeby wam się rodziło:
żytko — jak korytko,
pszenica — jak rękawica,
bób — jak żłób,
owies — jak skopiec,
len — jak pień.

Nie tylko dziatwa drobna chodzi po wsiach winszować Nowego Roku, ale i dorośli. W niektórych okolicach chodzą »draby« po »nowem lecie«, przebierani cudacznie za cyganki. Dawniej, gdy była w Polsce obfitość dzikich zwierząt, kolędnicy owi oprowadzali młodego wilka, niedźwiadka lub tura. W braku żywych tych zwierząt użytkowano do przebierania się ich skóry, a ztąd powstało powszechne niegdyś przysłowie: »biega by z wilczą skórą po kolędzie.« W braku skór przebierają się w kożuch odwrócony włosem do góry, lub w worek z naśladowaną z drzewa głową kozią. Najwięcej atoli różnych zwyczajów i wesołości łączy się w Polsce z obchodem wilii Nowego Roku, w ostatni wieczór roku starego. Nikt nie spędza tej chwili samotnie. Zbierają się na ten wieczór rodziny bliżej sąsiadujące na wsi, kółka przyjaciół w miastach, gromadzi się młodzież wiejska u ludu, aby wesoło i przy jasnem ognisku, wśród zabaw rozmaitych zakończyć rok stary. Dziewczęta czynią najrozmaitsze wróżby zamążpójścia, tak samo jak w wigilię św. Andrzeja. Jest bowiem między dniami tymi ten związek, że św. Andrzej zakończa rok kościelny. Było mniemanie, że dziewica, która w wigilię Nowego Roku doczekała północy, i wpatrując się przy świetle dwóch świec woskowych w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się za siebie, w zwierciedle ujrzy poza sobą postać przyszłego małżonka. Dziewczęta płatają figle chłopcom a ci dziewczętom. Więc wciągają brony na kominy domów, drzwi podpierają klocem drzewa. Dziewczęta przebierają się za cyganki, parobcy za cyganów oprowadzających niedźwiedzia, który zaleca się do dziewcząt. Uprzywilejowaną potrawą na ostatnią wieczerzę roku jest lemieszka z mąki pszennej, żytnej lub hreczanej. Gotują jej sporo. Młodzież przy spożywaniu klepie się nawzajem łyżkami po policzkach, a potem zamazuje sąsiadom okna z nadwórza, a to jak mówią, na znak, żeby w ciągu nowego roku mieli wszyscy usta i domy napełnione obfitym chlebem. Wieczór ten nazywa się szczodrym, a winszowanie po domach zowie się chodzeniem po szczodrakach, szczodrówkach, za nowem latkiem. Na Rusi szczodry wie-

Ślązaczka ze Skalitego na Węgrzech.

czór nazywają także »bohate weczer.« Młodzież kolęduje tak samo poprzebierana za cyganów, dziadów i zwierzęta, których głos naśladuje. Obszedłszy wieś całą i nazbierawszy podarków, wracają w umówione miejsce, poczem jedna z dziewcząt obrana gospodynią, przy pomocy innych sporządza ucztę, a ochocza zabawa przeciąga się do późnej nocy.

Jest powszechny w Polsce zwyczaj żartobliwego kradzenia sobie rzeczy w ten wieczór i wykupywania takowych nazajutrz. Za wykupne młodzież wiejska wyprawia biesiadę w dniu noworocznym. Mówią, że aby rok nowy był pomyślny, potrzeba naukrywać cudzych rzeczy, zakończając rok stary. Zwyczaj ten powszechny niegdyś u możnej szlachty, licznych krotochwil był powodem, a u ludu zachował się dotąd. Nowy rok powinien zastać bochen chleba na stole gospodarza, jako znak obfitości tego daru bożego, który przez rok cały nie powinien schodzić z jego stołu, ale wraz z solą, przysłonięty bielonym ręcznikiem, służyć na powitanie i posiłek dla gościa i ubogiego. Przy powitaniu w Nowy Rok obsypywano się owsem na znak pożądanej obfitości ziarna wszelkiego, a ci co obchodzili z powinszowaniem, nosili owies w rękawicy i na każdy róg stołu sypali jego szczyptę, aby tak wszystkie rogi założone były chlebem.

ŚLĄZACY NA WĘGRZECH.

Lud polski zamieszkuje kraj duży, góry i doliny, bogate i ubogie okolice. Losy nieszczęsne rozbiły go i poddały kilku rządom; niektóre części tego ludu, oddalonego od głównych siedzib polskich, popadły niemal całkiem w zapomnienie.

Taki kąt zapomniany z polską ludnością odkrył niedawno prof. Roman Zawiliński z Krakowa.

Jest lud polski na południu Karpat i to nietylko na Spiżu, ale też w powiecie czadczańskim, komitatu trenczyńskiego, w kącie pomiędzy granicą ślązką od północy, a galicyjską od wschodu. Główna wieś nazywa się Skalite (stacya kolejowa za Zwardoniem), oprócz niej Oszczadnica, Rakowa, Staszków, Podwysoka, Turzówka, Maków, Wysoka. Wieśniacy tej okolicy sami o sobie powiadają: »My Poláki, ino pod Uhry nálezymy«. Nazwiska też mają czysto polskie: Banasik, Bestwina, Burdzik, Bury, Chrobák, Głowiesek, Jargaś, Jaworski, Kacibaba, Karcmarczyk, Kosiak, Kowal, Kurzawa, Łaś, Łasiut, Pawełek, Rokiciak, Sanecki, Spilak, Sabnicki, Tatarka, Urbanek, Wójciniak, Wronka itp. W mowie swej zachowali **ą** i **ę**, twarde **ł** i miękkie **ć**, **dź**, **ś**, **ź**; wymawiając »mazurują«, tj. wygłasza **s** zamiast **sz**, a **z** zamiast **ż**. Gwara ich psuje się naleciałościami słowackiego języka, co jest całkiem naturalne, skoro Słowakami są otoczeni, z nimi mają stósunki, a z Polakami żadnych. W mieście styka się ten lud z kupcami i z inteligencyą słowacką i w ten sposób sam coraz więcej nabiera słowaczyzny. Najważniejszą atoli jest ta okoliczność, że duchowieństwo jest słowackie, i tylko z tym językiem spotykają się w kościele i stósunkach z kościołem. Dla tego też przekręcają na słowackie wszystkie wyrażenia i zwroty, odnoszące się do religii i obrządków kościelnych, bo tak słyszą w kościele. Bywają tacy, którzy potrafią nawet mówić zupełnie dobrze po słowacku i do miejskich osób zawsze w tym języku przemawiają. Dopiero na wezwanie: »Mówcieno po swojemu!« zaczynają mówić gwarą polską, wtrącając tylko tu i owdzie wyraz słowacki. W innych wsiach, np. we Wysokiej i w Makowie, przez częste obcowanie z sąsiednimi Morawcami, znać wpływy morawskie. Lud ten o Polsce nic a nic nie wie; tyle też tylko styka się z sąsiednią Galicyą, o ile czasem zajrzy na odpust

lub jarmark do Milówki. Inteligencya, z którą się spotyka, uważa go za słowacki, a rozbudzony narodowy ruch słowacki sięga już po te polskie osady i zapewne je pochłonie.

Okolica ta jest właściwie dawną częścią Ślązka i tak jest jeszcze oznaczona na mapie z r. 1736, opracowanej przez J. W. Wielanda, a wydanej w Norymberdze. Mamy tedy do czynienia ze Ślązakami. Ubiór też ich podobny jest do ślązkiego, używanego na linii pogranicznej od Jabłonkowa ku Koniakowu; chaty, a zaciemnia tak mieszkanie, że do wnętrza ledwie dochodzi mdławe światło, ale cóż poradzić na biedę i przyzwyczajenie. Domy drewniane, pokryte gontem, zwanym tu »sędziołek«, nie mają kominów prawie nigdy. Izba mieszkalna, kwadratowa, ma dwa małe okienka, ku południu i zachodowi; po prawej stronie od wejścia jest piec piekarski z nalepą, nad nią wisi kocioł przymocowany na łańcuchu u stragarza. Sprzętów niewiele: szerokie łóżko z barłogiem i z bardzo lichą pościelą, koły-

Chata Ślązaków w Skalitem.

od słowackiego ubioru natomiast różni się bardzo.

Jest to lud górski; średni poziom doliny wynosi 524 metrów, góry dochodzą do 860 metrów. Ubodzy, jak zwykle górale, mieszkają w lichych chałupach, które pod jednym dachem łączą odrazu stajnię i maleńką stodółkę. Dach przedłużają ze wszystkich stron ku dołowi, aby pod nim gromadzić zboże, siano, drzewo opałowe, jako zapas na zimę, a nawet ustawiają tam pnie z pszczołami. Dach taki nie zdobi wcale ska, stół, ława i na tem koniec. — Karczmy, stojące co kilkadziesiąt kroków przy drogach, tłumaczą ubóstwo ludu dostatecznie.

Pożywienie ich nędzne. Na śniadanie jadają kapustę ze ziemniakami i ziemniaki z kwaśnem mlekiem; na obiad to samo i wieczór znowu to samo. Gotują za jednym razem na cały dzień. Chleba całkiem nie pieką; znają tylko chleb kupny. W jesieni pieką ze ziemniaków placki na listkach kapusty. Z żyta, którego sobie czasem kupią,

mielą sami mąkę na domowym młynku, potem ją prażą, zalewają wrzącą wodą i z tej gęstej papki robią łyżką t. z. »poncki«, t. j. prażuchy, które jedzą z kwaśnem mlekiem. Mięso jadają tylko wtedy, jeżeli zabiją własnego barana lub czmie przez trzy dni »ostatków«. Przemysł domowy ogranicza się wyłącznie do wyrobu bielizny i ubioru na własną potrzebę.

Szczególny u nich taniec: Pierwszy tancerz bierze w pół stojącą na boku

„Młodusia“ i „Młoduch“ z orszakiem „Wadziebnych“ w Skalitem.

wieprza; natenczas pociąwszy mięso na kawałki, dają do beczki, zwanej »gielatką«, solą i zostawiają tak 2—4 tygodni, poczem je gotują na kwasie kapuścianym, albo skisłej maślance. Nawet na największe święta pieką tylko bogatsi; ale cała ludność siedzi w kar- dziewczynę i staje przed muzyką. Kiedy równocześnie i inni wybrali tancerki i stanęli obok niego, śpiewają na dwa głosy śpiewki, a kiedy muzykant uchwycił już poddaną melodyę, poczynają się kręcić na miejscu, para przy parze. Z początku jest w tańcu nieco skoku,

choć tempo dosyć wolne; muzykanci przyspieszają coraz bardziej takt, a natenczas kroki tańczących są coraz mniejsze, drobniejsze, ale coraz szybsze, aż wpadają w zupełny wir na miejscu, tak, że omal nie upadną z zawrotu głowy. Tancerz obejmuje kibić tancerki tylko prawą ręką, ona zaś opiera na jego ramieniu swą lewą rękę; jego zaś ręka lewa i jej prawa zawisają, a uważają za rzecz nieprzyzwoitą spojenie rąk lub podniesienie ich w górę.

PIWO U POLAKÓW.

Spór Niemców i Polaków o to, czyim piwo było wynalazkiem i napojem narodowym, jest wprost niedorzeczny. Już bowiem pisarze greccy i rzymscy wspominają o napoju wyrabianym z wyroszczonej pszenicy i jęczmienia. Napój podobny poświęcany był bogini rólnictwa Cererze i dla tego nazwa łacińska cerevisia, służy dotąd jako miano dla piwa. Prawdopodobnie zaś ani Grecy i Rzymianie nie byli wynalazcami piwa, ale otrzymali po starszych jeszcze narodach. Pisarz rzymski Tacyt pisze, iż Germanowie przyrządzali napój z jęczmienia, czego nie mógł powiedzieć o Polakach dla tej prostej przyczyny, że ich nie znał. Między Wartą, Notecią i Gopłem leżała kraina najbardziej rolnicza w Słowiańszczyźnie, od pól Polską nazwana. Tam więc, gdzie zboża posiadano najwięcej, mógł najdawniej wśród Lechitów upowszechnić się napój zbożowy. Już za Gallusa krążyły stare podania w rodzie Piastowiczów o cudownem pomnożeniu się piwa u gościnnego Piasta. Bolesław Chrobry tyle pijał piwa, że Niemcy przezywali go złośliwie Trink-bier, piwoszem. Z tej okoliczności poeta polski Syrokomla wysnuł swój »Napis na kuflu«:

Niemcy nam chcieli zabrać Kopernika:
Z przywłaszczonego odarto ich blasku,
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.
Ale w Dytmara pismach zostawiona
Pamiątka stara, kronikarska, żywa,
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa.

W jednym z najstarszych dokumentów polskich, w nadaniu królowej Judyty klasztorowi tynieckiemu z 12 wieku, jest już wymieniony browar z karczmą. Z innych źródeł widzimy, że Ludgarda, żona Przemysława II, zaprowadziła w Kaliszu liczne browary. Długosz nadmienia o Przemysławie, księciu poznańskim, zmarłym r. 1257, że był chorowity i pijał tylko słabe piwa. Długosz w opisie Polski powiada, że kraj ten zamiast wina, używa piwo warzone z żyta, pszenicy, jęczmienia lub orkiszu. »W Mazowszu wino rzadko używane, tylko napój z pszenicy, chmielu i wody, piwem zwany«. Żmudź za Długosza mało piła miodu i piwa, bo uprawa zboża dopiero upowszechniała się tam wówczas. Piwo z jęczmienia, zwane po litewsku atus, było głównie obrzędowym napojem przy obrzędach bałwochwalczych. W Polsce mamy wzmianki o chmielu w 13 wieku. W wieku 16 chmiel był już przedmiotem handlu wywozowego z Litwy, a Statut litewski przepisuje surowe kary na szkodników w chmielnikach. Zygmunt Stary spożywał zawsze na śniadanie »gramatkę« t. j. polewkę piwną z grzankami. Słodownicy w Wilnie tworzyli osobną klasę przemysłowców. Zygmunt August dając r. 1551 przywilej w Warszawie na warzenie piwa Negelinowi i Ulrychowi, zaleca wszystkim innym piece ich systemu z powodu, że na takowych trzecią część paliwa oszczędzali. Konstytucya z r. 1565 ustanowiła podatek czopowy za wyszynk piwa po 4 grosze od beczki piątkowskiego, piotrkowskiego, łęczyckiego, bydgowskiego i przemyskiego, za piwa zaś świdnickie, głogowskie, berneńskie, gdańskie i wrocławskie po 6 groszy. Piwo proszowskie i piotrkowskie uważane było za najlepsze. Cech piwowarski w Krakowie istniał już w wieku 15,

a piwowarzy mieli swoją basztę do obrony w razie wojny. Piwowarstwo było ważną gałęzią przemysłu krajowego, który przez spotrzebowanie pszenicy i jęczmienia wspierał znakomicie rolnictwo i musiał być zyskownym, skoro ile razy chodziło o podniesienie podupadłych miast, zawsze dozwalano im swobodnego piwowarstwa. Jeszcze w 16 wieku warzono piwo z pszenicy. Taksa żywności na ratuszu krakowskim z r. 1573 stanowi, aby piwo warzono tylko z czystej pszenicy. To też poeta Miaskowski mówi o piwie jako napoju z »pszennej jagody«. Atoli w wieku 17 jęczmień wziął górę nad pszenicą. Prawo z roku 1685 przepisuje tylko, aby na 10 korcy jęczmienia dodawano obowiązkowo 2 czystej pszennicy. Lekarze zalecali chorym piwo krakowskie dwuraźne czyli dubeltowe, a wielu Polaków przekładało wystałe piwo pszeniczne nad wina hiszpańskie. Wybrednym piwoszom przygania sławny poeta polski Jan Kochanowski:

Gniewam się na te pieszczone ziemiany,
Co piwu radzi szukają przygany.
Nie pij, aż ci się pierwej będzie chciało,
Tedyć się każde dobrem będzie zdało.

Pasek pisze o odwiedzinach króla Jana Kazimierza u szlachcica Sułkowskiego pod Rawą: »Nie wiemy o niczem, napijamy się piwka, aż tu wchodzi sługa: — Królewstwo Ichmość do Waszmości Pana jadą, jeśli w czem nie przeszkodzą?« — Rzączyński powiada, iż do Ślązka i Brandenburgii wywożono z Wielkopolski piwo grodziskie. Na Mazowszu słynęło piwo wareckie, tak jak w Litwie: grodzieńskie, kiejdańskie, nieświezkie, balwierzyskie a orszańskie na Białejrusi. Piwa szlacheckie, klasztorne, marcowe i owsiane, lubione i zdrowe, stały się podaniowemi. Zdrowa, smaczna i posilna polewka piwna, t. j. piwo zagrzane z żółtkiem, zastępowało dzisiejszą kawę i herbatę na śniadanie.

2-gi drużba, 1-szy drużba, młoduch, młodusia, 3-ci drużba (w Skalitem.)

Pracowite i gospodarne dawne gospodynie w każdym domu prygotowywały wyśmienite, jasne, lekkie, szumujące piwo »szlacheckie«. Wiadomości o sposobach warzenia piwa na Litwie, podaje książka »Ziemianin albo gospodarz Inflancki« wydana w Słucku r. 1673. Dopiero w pierwszej połowie 19 wieku zaprzestano po dworkach wiejskich warzyć »piwo szlacheckie«. Dawniej w czasie żniwa wywożono go na pole dla żniwiarzy, dawano w podarku na wesela kmieci i t. d. Lud wiejski na Mazowszu i Żmudzi zachował dłużej zwyczaj warzenia piwa sposobem domowym, o ile zdołał ukryć tę czynność przed władzą akcyzną. W niektórych stronach robią także piwo z samych jagód jałowcowych. W starej polszczyznie słodziny nazywano młóto, wrzątek piwny brzeczką, suszarnię słodu ozdownią, hordownią, ozdnicą, słodownisko ozdownikiem. Po domach miano zawsze do warzenia 3 naczynia: trzynóg, kadkę i kociołek. Liczne szczegóły o piwowarstwie dawnych mieszczan lwowskich znajdują się w dziele Łozińskiego: »Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie.« Al. Jelski pisał oddzielną rozprawę o piwie w Polsce.

SEN.

Wiek już dochodził od tej pory pamiętnej, gdy dzielny Gedymin, książę Litewski, zmordowany raz polowaniem, z dworem i panami, nad Wilią noc najpiękniejszą przepędzał; w tej samej kniei, w której mu przed chwilą udało się ubić ogromnej wielkości tura. Nie było to wprawdzie nadzwyczajną rzeczą, szczęśliwemi w tej porze pochlubić się łowy; lasy przepełnione zwierzem, i polowanie, jedyna rozrywka panów, wszelkiej ku temu dostarczały łatwości. Ale tur Gedymina nie był pospolitym turem*) Znany z piękności swych rogów, od dawna był celem czat i pościgów łowieckich; lecz ciągłemi niebezpieczeństwy wprawiony do ostrożności, z dziwną szybkością przenosząc się z jednej puszczy do drugiej, oszukiwał czujność najbieglejszych łowców, i bezużytecznemi czynił wszystkie ich zasadzki. Widząc nakoniec, że jego piękność zagubna uzbroiła nań całą prawie Litwę, jakby szukał śmierci z ręki najgodniejszej, wpadł na oszczep Gedymina i legł u nóg jego bez życia.

Uradowany książę tak szczęśliwem polem, na miejscu zaraz kazał wspaniałą ucztę wyprawić. Była jesienna pora. Zawieszone od jednych gałęzi do drugich kosztowne zapony, usłane zwierzęcemi skórami murawy, mnóstwo rozłożonych ognisk, psy, sokoły, łowczowie, kucharze i różnego rodzaju myśliwcza drużyna, osobliwszy na dzikiej puszczy wystawiały obraz. Ożywiały go obfitość trunków, wesołość dworzan, a nadewszystko dobra myśl pańska. Rozmowy po większej części miały za cel sprawy dnia tego. Kto więcej ubił zwierzyny, komu tęższe dawał obroty tur ścigany, który psów rodzaj lepiej się zasłużył; przytem rozliczne uwagi i żarty były osnową wzajemnych powierzeń i często przesadnych dodatków, jak to zwykle między myśliwymi się zdarza. Wnosić należy, że i sen po dziennych trudach i wypróżnionych puharach, powtarzać je musiał w dziwacznej wystawie. Nazajutrz, u śniadania, Gedymin, pełen troskliwej myśli, marzenia swoje opowiadał przed dworem, obiecując znaczną nagrodę temu, któryby trafnie ich znaczenie wyłożył: sny bowiem w owym wieku uważane za przestrogi bogów, były wyrocznią najważniejszych spraw ludzkich. Śniło się zaś księciu, że widział wilka okrytego zbroją żelazną, a w gardle

*) Podobno to samo, co dzisiaj żubr, wół dziki, znajduje się do dziś dnia w puszczy Białowieskiej, w Litwie.

jego słyszał głos stu wilków ogromnie wyjących. Tak dziwne marzenia w głębokie zadumanie pogrążyły dwór cały. Sadzili się panowie na różne wykłady: jedni przewidując klęski powietrza, radzili wcześne przedsiębranie środków; drudzy wróżyli pomyślność następnych łowów; inni głosili wojnę; zgoła, każdy ciesząc lub przerażając zdanie swoje objawiał. Lecz gdy żaden z dworzan nie był w stanie zaspokoić Pana, zabrał głos mądry Lezdejko, wieszcz i Arcykapłan litewski, zapewniając księcia, że sen jego odkrywa wolę bogów: żeby na tem miejscu, gdzie pod grotem jego poległ zwierz srogi, potężne stanęło miasto, którego sława i zamożność rozchodzić się będzie po całym świecie; wilk bowiem w żelazie, nie co innego, mówił, znaczy, tylko gród warowny, a głosy w nim wyjące, mnogość jego mieszkańców. — Podobał się Gedyminowi takowy wykład snu jego; zaklaskał z radości w ręce, udarował wieszcza, i niezwłocznie wydał rozkaz zakładania miasta.*) Natychmiast tysiące siekier, łoskot roznosząc po puszczy, ruszyły zdziwione zwierzęta z odwiecznych siedlisk; padały z trzaskiem stuletnie dęby i jodły; dzień jasny zajął nocy mieszkanie, a knieja zgonem tura pamiętna, przyjęła zakresy warownego zakładu. Taki jest początek Wilna.

Przyznać należy, że Lezdejko nie mógł dać zbawienniejszej rady książęciu, i słusznie w nazwisku potomków swoich, książąt Radziwiłłów,**) sławnych po wszystkie wieki w narodzie, zachował chwałę założyciela litewskiej stolicy. Posada też miejsca łączyła w sobie wszystkie dogodności, jakich tylko do wzniesienia grodu przezorny szuka zakładacz. Zdaje się nawet, że Lezdejko, od dawna wiadomy położenia miejsca, wcześnie je przeznaczał na zakład warowny, i tylko stósownej upatrywał chwili, żeby uwagę Pana mógł ściągnąć na jego korzyści.

*) Ztąd przysłowie: prawić o żelaznym wilku.

**) Radzi Wilno wybudować.

MOWA POLSKA.

Polska mowo ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie wdzięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona;
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

Wszelki kształt się zmienia, łamie,
Ty trwasz wieki niepożyta;
Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednie Boga znamię;
Z każdą myślą, a potrzebą,
Twój kwiat w nowe się rozplemia;
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo:
I jak wszystko, co z przymierza,
Co z niebieskiej tchnie opieki,
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki
Na tle twojem błyszczy cecha.
W Pańskiej służbie ochotnicy
Dziś śpiewają do Dziewicy,
Bogarodzicy,
Jak śpiewali za Wojciecha.
I dziś naród, co z olbrzyma
W duch się rozwiał niewidomy,
W takie same tony ima
Gdzieś nad ziemią swych skarg gromy
Przeciw wrogom na poziomie, —
Jako niegdyś, gdy widomie,
Idąc ślaki zwycięzkiemi,
Pan i rządzca losów ziemi,
Z berłem w ręku, a w pokorze,
Głosił światu prawa Boże;
I przemówi nieinaczej,
Gdy się znowu uprzytomni
W rządach świata, — gdy w rozpaczy
Padną przed nim wiarołomni,
A on wszystkim wraz przebaczy.

Stanisław Koźmian.

* DOBRE KSIĄŻKI. *

Kordecki czyli Obrona Częstochowy. Rzadko która powieść sławnego pisarza polskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, tak się nadaje do czytania dla wszystkich stanów polskiego społeczeństwa, jak ta piękna powieść o obronie Częstochowy przed Szwedami. I prostaczek i uczony, kobieta i mężczyzna z rozrzewnieniem przeczytają dzieje tego oblężenia długiego i strasznego, które zaiste jedynie cudem Bożym skończyło się klęską szwedzkiego wojska. Jakżeby inaczej pojąć, że garstka zakonników, szlachty i ludu okolicznego, do wojny nie zaprawionego, zdołała długi czas obronić się przeciw doskonałemu, tysiącznemu wojsku, znakomitym jenerałom i wielkim armatom! Pokazało się tam oczywiście, że większa moc Boska, niż złość ludzka i że Najświętsza Panna nie opuści narodu polskiego, którego jest królową i panią.

Nie ma w narodzie polskim rodziny, gdzieby nie wiedziano o Częstochowie. Zazwyczaj wie też każdy niecoś o oblężeniu szwedzkiem. Niechaj ta książka piękna pouczy niewiedzących, pokrzepi wszystkich. Właśnie w czasach, jak obecne, gdzie burze się srożą nad narodem polskim, niech się szerzą między nami książki, stwierdzające, że „nadziei nigdy nie należy tracić, bo po burzy dobry dzień przychodzi."

Kordecki jest wydany w dwóch tomach, obejmujących 492 stron druku wyraźnego, na dobrym papierze. Dodany jest piękny obrazek ks. przeora Kordeckiego. Cena obu tomów 1 markę, z przesyłką 1 m 30 fen. Można nabyć z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

✿ ROZMAITOŚCI. ✿

* **Co się stało z koroną polską?** Kiedy w r. 1795 Prusacy chwilowo zajęli Kraków, dobierali się do skarbca koronnego na Wawelu; dużo kosztowności wtenczas odnieśli a gdy korony rzeczywiście potem zniknęły, przypuszczano, że one też przeszły do Berlina. Równocześnie jednak utrzymywała się pomiędzy ludem ciągle legenda, że korony polskie sami Polacy zawczasu ukryli, i że są dotychczas ciągle schowane w dobrem ręku; każdy z kilku strażców narodowych pamiątek, gdy czuje, że się zbliża jego koniec, zwierza tajemnicę komuś młodszemu i w ten sposób już przez sto lat mają te zabytki swoich opiekunów; jakich i gdzie — niewiadomo i dobrze, że niewiadomo, bo taka rzecz wymaga ścisłej tajemnicy. Legenda ta miła każdemu polskiemu sercu; czy jednak prawdziwa, wątpiono.

Obecnie okazuje się, że legenda ludowa ma słuszność. Oto przed kilkunastu laty bawił w Krakowie pruski wówczas następca tronu, a późniejszy cesarz Fryderyk III; bawiąc na Śląsku, przyjechał do bliskiego Krakowa, żeby się przyjrzeć pamiątkom polskim. Wiadomo, że był to monarcha szlachetny. Kiedy go oprowadzał po królewskim kościele na Wawelu ś. p. ksiądz kanonik Polkowski, rozmowa zeszła też na polskie korony. Wtenczas cesarz Fryderyk powiedział wyraźnie, że w Berlinie koron polskich niema i nigdy nie było! Oświadczenie to znane było niewielu tylko osobom; obecnie podał je do publicznej wiadomości p. Ludwik Dębicki w książce p. t. „Trzy pokolenia w Krakowie."

Skoro tedy korony te zniknęły w sam raz wtenczas, gdy w Krakowie było pruskie wojsko i Moskale do nich poźniej dobrać się już nie mogli, widocznie tedy schowali je zawczasu sami Polacy, przewidując, że pruski jenerał będzie je chciał zabrać; schowali i zaraz gdzieś wysłali. A więc korony polskie — nie zginęły!

* **Kurdesz.** Tak Polacy nazywali dobrego przyjaciela i towarzysza biesiady. Wyraz ten przyjęli od Turków i Tatarów podczas ciągłych ze Wschodem stosunków. Po turecku kardasz znaczy brat i używa się w znaczeniu towarzysza. Polacy przekształcili to na kordasz, kierdasz i kurdasz, a kurdastwem nazywali niekiedy przyjaźń, braterstwo, kamractwo. Do najpopularniejszych wesołych piosnek towarzyskich drugiej połowy 17 wieku należała nazwana »Kurdeszem« od tego, że każda jej strofka kończyła się wierszem: »Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!«. Autorem tej piosnki był ks. Franciszek Bohomolec (ur. r. 1720 † 1784), uczony i niepospolitych zasług Jezuita, pierwszy w 18 wieku autor komedyi polskich, założyciel pism peryodycznych (Monitora), wydawca kronik polskich, autor, tłumacz, dobroczyńca uczącej się młodzieży, jeden z najgorliwiej rozbudzających z uśpienia oświatę i literaturę polską. Był człowiekiem wesołym i towarzyskim. W gronie przyjaciół improwizował i układał pieśni. Lubili go wszyscy i poważali. Bo przy wesołości i dowcipie nigdy nikomu nie ubliżył. On to na jednym z czwartkowych obiadów u króla Stanisława powiedział raz piękną improwizacyą p. t. »Pochwała wesołości«, na co mu Krasicki zaimprowizował odpowiedź i zakończył wiwatem: »Niech żyją Bohomolce!« Bohomolec przyjaźnił się z Grzegorzem Łyszkiewiczem, zacnym kupcem warszawskim, którego dom słynął gościnnością jego małżonki Anny, a piwnica starym węgrzynem. U Łyszkiewicza to na jednem z zebrań przyjacielskich ułożył Bohomolec piosnkę dziewięciozwrotkową poczynającą się od słów:

Każ przynieść wina mój Grzegorzu miły,
Bógdaj się troski nam nigdy nie śniły,
Niech i Anulka tu zasiędzie z nami,
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Piosnka ta podobała się wszystkim ludziom wesołym, w dni kilka obiegła całą Warszawę, a potem wszystkie zakątki kraju od Karpat do Dźwiny. Najdłużej cieszyła się popularnością na Litwie, jako hasło biesiadniczego bratania się.

* **Litkup,** stary zwyczaj poczęstunku na potwierdzenie »dobitego targu«. Na znak dokonanego kupna bito wzajemnie z całej siły dłońmi, podawano sobie ręce i zapijano litkupem. Świadkowie i meklerzy przy targu zwali się w prawie miejskiem litkupnikami. Dotąd na jarmarkach obyczaj ten jest powszechnym. Wieśniak polski po wypiciu litkupu, choćby się najbardziej czuł pokrzywdzony, nie cofa słowa nigdy. Takie bowiem jest prawo zwyczajowe, znane i w prawodawstwie pisanem. Sam wyraz pochodzi z niemieckiego leibkauf. Litkupnicy, którzy doprowadzili targ do skutku, byli za to płaceni. Kto kupił rzecz kradzioną, musiał się wywieść litkupnikami Na Litwie i Rusi litkup zowią boryszem.

✧ FRASZKI. ✧

* **Jak krawcy żartowali z pana.** Jeden pan jadąc gościńcem, spotkał dwóch żydów krawców, a chcąc sobie z nich zakpić, stanął i rzecze do nich:

— Możecie mi uszyć parę sukien?

— Czemu nie, aby tylko było z czego.

— To nie sztuka, gdy materya gotowa, ale czy potraficie uszyć bez materyi?

— Uszyć nie potrafimy, ale skroić możemy, niech tylko wielmożny jegomość pozwoli nam wziąść miarę.

— Pan wysiadł z kolasy, a żydzi obmierzyli jego osobę i na piasku odkreślając nożycami każdą sztukę mówili:

— Oto jegomość masz stan, oto poły, oto kliny, oto rękawy, oto kołnierz, a teraz to wszystko znoś sobie jegomość zdrów.

* **Człek zełgał a koń prawdę powiedział.** Przyszedł kmieć do sąsiada prosić o pożyczenie mu konia, a sąsiad nie rad pożyczać, odrzekł, iż konia niema w domu. Ale jak na złość koń zarżał w tej chwili.

— Czemuś sąsiedzie zełgał, że konia niemasz w domu? — pyta proszący, na co mu tamten odpowie:

— To widać waść więcej wierzysz bydlęciu, niż mnie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Gry dla starszych i młodzieży.

Złota kula.

Wszyscy siadają wkoło oprócz dwóch osób, z których jedna oddala się na stronę, a druga z pierścionkiem lub kamykiem, nazwanym złotą kulą, obchodzi wszystkich i każdemu niby wręcza ten przedmiot. Każdy udaje, że otrzymał złotą kulę, żeby osoba mająca zgadywać nie mogła pomiarkować, kto dostał kulę. Pierwsza, która oddała, wzywa wtedy osobę drugą:

Zgaduj gadula,
Gdzie moja złota kula?

Mająca zgadywać odpowiada:

Radabym gadała,
Żebym o niej wiedziała.

Następuje zgadywanie. Jeżeli trzy razy osoba zgadująca nie zgadnie, daje fant i zgaduje dalej. U kogo złota kula zostanie odgadniętą, ten idzie odgadywać.

Gdzie jest złodziej?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.